NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 4—5 Grudzień—Styczeń 1934—35 Rok IX

TREŚĆ ZESZYTU:

Cena numeru 50 gr.

NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 4—5 | Grudzień—Styczeń 1934—35 | Rok IX

ŚWIĘTO 11 LISTOPADA.

Tegoroczny wyjazd w dn. 11-ym listopada był już trzecim zkolei zorganizowanym przez młodzież licealną.

Dotychczas wyjazdom naszym towarzyszył wielki entuzjazm, dużo szczerych chęci i— intuicja, przy wyborze bowiem tematów kierowaliśmy się przeważnie tylko przypuszczeniami teoretycznemi a to z braku doświadczenia w tej dziedzinie.

Jednakże już w ostatnim roku zmieniło się coś w naszym sposobie pojmowania celu tych wyjazdów, a co zatem idzie—zmieniliśmy zasadniczo sposób ich traktowania. To też dorobek tegoroczny naszych wyjazdów jest wielki i szkodaby było, gdyby nie został należycie zrozumiany a w przyszłości wykorzystany.

Z tą, zapewne, myślą zorganizowany został specjalny wieczór poświęcony pokazom każdej z klas, lecz ta jego część w którejby można było podzielić się myślami z ogółem klas, udzielić swych uwag, wskazówek i przestróg— nie udała się, przeszła dość blado, w porównaniu z częścią artystyczną.

Próbujemy więc raz jeszcze na łamach „N. W.“ poruszyć tę sprawę i mamy nadzieję, że tym razem wynik naszych wspólnych rozważań będzie taki, o jaki nam chodziło.

Zrozumieliśmy jasno, że nie wystarczy pojechać, dać rzecz jakąś nawet piękną i nieźle wykonaną, by mieć poczucie spełnionego obowiązku; nie, nam chodzi o coś więcej, chodzi oto, aby nawiązać stosunek ścisły i trwały z wsią, i aby do tego znaleść drogę najprostszą, a zarazem najlepszą.

Większość klas myślała już o tem, lecz teraz byłoby rzeczą dobrą i wskazaną, aby to stało się troską całej młodzieży i aby myśli, które niejasno i niepewnie zaczęły powstawać w różnych klasach przybrały zdecydowaną postać.

Przytaczając słowa przedstawicieli poszczególnych klas, postaramy się dać obraz tego, jakiemi drogami starała się nasza młodzież trafić do duszy słuchaczy.

„Myśmy chcieli i pragnęli gorąco zbliżyć się i zaprzyjaźnić z dziećmi wiejskiej szkoły. Poprzez współpracę z niemi chcemy zaznaczyć nasz koleżeński do nich stosunek".

„Nasuwa się pytanie: Czy w ten sposób spełniamy swoje zadanie? Sądzę, że częściowo tak. Pomyślną dla nas odpowiedź wyczytałam z twarzy widzów. Wszyscy zresztą byli tak serdeczni, wdzięczni, że trudno powiedzieć, a nawet nie można, że to były uczucia kłamane. A my, chcąc odpłacić pięknem za nadobne w stosunku do naszych nowych kolegów, staraliśmy się być jeszcze milsi i bardziej uprzejmi. Jedną mam tylko wątpliwość. Program nasz był bardzo piękny i nastrojowy, ale zdaje mi się, że właśnie za poważny, a tem samem niezupełnie przez dzieci zrozumiały. Gdyby w skład programu wchodziły rzeczy lekkie, wesołe, toby, mam wrażenie, było lepiej. Przekonał mię zresztą o tem „Krakowiak", któremu towarzyszyła burza oklasków i który szczególnie wśród niedorosłych zdobył sobie uznanie największe. A przecież dla niedorosłych przedewszystkiem urządzaliśmy naszą akademję". Tak mówi uczenica kl. Ia.

A oto, co mówi przedstawicielka klasy IIa: „Dojechaliśmy do szkoły. Na podwórzu stoją szpalerem dzieci. „Dzieńdobry państwu" rozlega się z obydwu stron, dziewczynki robią dygi, chłopcy zdejmują czapki. A „państwo" dumnie głowę podnoszą do góry, powstrzymując śmiech. No, ale już ten drobiazg podbił nasze serca. Odrazu zaczęliśmy jakoś milej patrzeć na naszych gospodarzy. Ale oni nie ufają nam zbytnio, patrzą na nas szeroko otworzonemi, wylęknionemi oczami. Dopiero zabawy urządzane przez nas, w kilka minut potem, zdołały rozproszyć ten wyraz. Najpierw nieliczne i nieśmiałe, potem coraz głośniejsze i częstsze wołanie: „Proszę pani stanąć koło mnie". „Ja koło pani nie stałam jeszcze..." — kontakt został nawiązany. Taki miły, serdeczny. Z każdą nową zabawą podobają nam się coraz bardziej nasi mali gospodarze. Po naszej, nastąpiła ich akademja. Tutaj dopiero mogliśmy zrozumieć, ile jeszcze trzeba włożyć starań, ile dać wysiłku, by dzieci wiejskie mogły zrozumieć i wczuć się w myśl zawartą w utworach. Postanowiliśmy całem sercem dopomóc im w tem".

Nawiązanie kontaktu „takiego miłego, serdecznego" młodszych klas z dziećmi wiejskiemi jest nadzwyczaj ważne — pewne ziarenko cieplejszego uczucia zakiełkuje bezwątpienia w duszach naszych małych wieśniaków, każe im serdeczniej,

życzliwiej i z szerzej otwartą duszą, brać udział w uroczystościach i, mamy nadzieję, na długo zostawić pamięć czegoś wielkiego a bliskiego.

Lecz łatwiej jest naszym młodszym kolegom zdobyć zaufanie niedorosłych słuchaczy, niż starszym klasom trafić do duszy dorosłego wieśniaka. Rozumieliśmy dobrze, że zadanie jest trudne, to też wielki nacisk kładliśmy w naszych przygotowaniach na to, aby produkcje uczynić możliwie najprzystępniejszemi. Dowodem tego są głosy różnych klas, które tu zamieszczamy.

Klasa VI pisze: „Daliśmy wsi rozrywkę, pewne urozmaicenie i co więcej?... Uważam, że daliśmy poczucie pewnej jej wartości, podkreśliliśmy wartość kultury wiejskiej... (W programie mieliśmy tańce, śpiewy i różne zwyczaje ludowe)".

Klasa VI próbowała trafić do słuchaczy w sposób najbardziej bezpośredni: ich własnym językiem, ich umiłowanemi zwyczajami— tem, co im jest najbliższe. Czy jest to dobry sposób, a może jedyny—najlepszy, czy też wręcz przeciwnie — błędny?

Przypomnijmy sobie co dała klasa VII— „ukazała pewną gałąź dorobku Polski odrodzonej, dzisiejszej—lotnictwo". Zdaniem przedstawiciela klasy VII „dając programy żywe, aktualne i naprawdę interesujące, uzyskamy całkowity i pełnowartościowy sukces".

Czy naprawdę dla chłopa lotnictwo jest tematem „aktualnym, interesującym?" A może dzięki tego rodzaju akademjom stanie się nim kiedyś, lecz czy to uzyskać potrafimy?

Może ktoś na to odpowie!

A teraz co piszą dwie nasze klasy najwyższe: klasa VIII podchodzi do tego zagadnienia bardzo ciekawie: „Trzeba było wybrać, w którym kierunku pójdzie nasza praca: czy poważnego uświadamiania naszych widzów czy też położymy nacisk na słowo święto, a nie na słowo państwowe i postaramy się uczynić dzień ten radosnym dla tych, co nas słuchać mają, postaramy się wywołać uśmiech na ich twarzach, a poprzez ten uśmiech zostawić wrażenie Polski, jako czegoś bliskiego i radosnego. Wybraliśmy to drugie i, zdaje się, że wybraliśmy trafnie". „Łobzowianie— to sztuczka ludowa z tańcami, śpiewami, bardzo wesoła, żywa, kolorowa i sceniczna". Klasa VIII starała się trafić do ludności wiejskiej w sposób podobny, jak VI, lecz jako temat wzięła życie wieśniaków krakowskich, nie

wołyńskich, to też nie wiemy, czy cel powzięty rzeczywiście osiągnięty został.

Przedstawiciel kursu V, kursu, który bezwątpienia najlepiej zna wieś, w ten sposób formułuje swe rady: „Konstruując program akademji trzeba mieć na uwadze, aby nie miał on zbyt wysokiego poziomu, gdyż nie będą na to przygotowani słuchacze. Trzeba przeto, wyjeżdżając na wieś, zebrać możliwie wyczerpujące informacje o danej miejscowości, o poglądach, o kierunkach zainteresowań, o ogólnym charakterze tej okolicy". „W rozmowie z mieszkańcami wsi, w której już kiedyś była nasza młodzież można wyczuć, że przeżywają oni głęboko tego rodzaju imprezy, nawet po dłuższym okresie czasu wspominają je, a kiedy nadchodzi 11 listopad z niecierpliwością i w napięciu czekają i snują najrozmaitsze domysły i plany. Jak ten dzień będzie obchodzić ich wieś? Czy ci uczniowie z Liceum przyjadą?— a co będzie jeżeli nie przyjadą? W zeszłym roku było tak wesoło, wszystko im się podobało. Dziwne jednak, że ci sami ludzie zapytani o program nie pamiętają ani jednego punktu programu. Mówią, że śpiewali, że było przedstawienie, że bawili się i było wesoło". — Rozumiemy, że widać tematy poruszane na akademji, są dla chłopa odległe, abstrakcyjne, nieistotne — łapie on tylko powierzchowną barwność".

Z rozważań, które przeprowadziliśmy przed chwilą, widzimy, że zbliżenie się do wsi nie jest tak łatwe, jakby się zdawało, że do tego, aby wsi dać od siebie coś nowego, a zarazem istotnie ważnego i pożądanego trzeba ją dobrze poznać, i nietylko poznać, ale i zrozumieć.

Mylimy się nieraz grubo, uważając że powodem niezrozumienia naszych programów jest „niski poziom" słuchaczy; tu raczej wina leży po naszej stronie, a popełniamy ją wtedy, kiedy przy układaniu tych programów kierujemy się naszemi upodobaniami bez myśli o tem, dla kogo je przygotowujemy. A poto, żeby do chłopa przemówić trzeba nietylko znać jego język, ale i zdobyć jego zaufanie. Więcej możemy zdziałać, oddziaływując na jego uczucie, niż na myśl i rozum.

Na zakończenie podajemy ciekawe uwagi kolegi z kursu IV, które są częściowo wyrazem, rozmyślań i rozmów tego kursu na zebraniach klasowych.

J. L. kl. VIII J. S. kurs V J. Ż. kurs IV.

LISTOPADOWE ECHA.

Po powrocie młodzieży z jedenasto-listopadowego wyjazdu na wieś słuchaliśmy sprawozdań poszczególnych klas. Mieliśmy więc możność poznać programy akademji, zaznajomić się ze stosunkiem ludności wsi do naszej młodzieży i samego występu.

Wszystkie o tem informacje dałoby się zamknąć w słowach: „przyjęli nas bardzo mile i serdecznie,— byli bardzo zadowoleni z naszego przyjazdu.— akademja udała się".

Z radością stwierdzić należy, iż w tym roku, niektóre klasy poszły o krok naprzód i rezygnując z wojenek, żołnierzyków, płaczących panien za niemi, dały coś z Polski dzisiejszej.

Zdawało się, że wszystko poszło jaknajlepiej, że młodzież wywiązała się w zupełności z zadania, że przywiozła wsi jakąś nową wartość bliską jej życiu i marzeniom.

Niewątpliwie, że sam przyjazd młodzieży Liceum do jakiegoś zapadłego zakątka wywołał nietylko urozmaicenie, ale wprost sensację.

Akademja, bez względu na charakter, musiała być dla wsi nielada nowością, tembardziej, że wstępy były bezpłatne.

To też nie dziwimy się burzom oklasków i serdecznym podziękowaniom, choć przeczyć nie możemy, iż był to niewątpliwie moment szczerego zadowolenia. Teraz zapytać wypada, co właśnie przyczyniło się do wzbudzenia tego zadowolenia--czy myśli programów akademij, czy tylko samo artystyczne piękno poszczególnych punktów?

Pytanie jest zbyt trudne, aby dać decydującą odpowiedź, by rzec tak lub nie.

Zdajemy sobie sprawę z celu naszych wyjazdów. Primo: mamy przyczyniać się do podnoszenia kultury wsi, secundo: dążyć do zacieśnienia współżycia narodowości, nasz teren zamieszkujących.

Wracam do postawionego pytania.

Tem, co przemówiło do ludzi, była niewątpliwie strona artystyczna akademji. Pod tym więc względem wywiązaliśmy się z zadania dobrze, dając wzór, jak należy organizować sceniczny występ, a tem samem zadośćuczyniliśmy celowi pierwszemu.

A ładunek myślowy?—Był on tylko gromadzony w pamięci słuchacza bez równoczesnego przetrawiania, był, że tak powiem, odkładany na później do rozpatrzenia.

Opierając się na poczynionych osobiście spostrzeżeniach,

twierdzę, iż wynik owego „trawienia myśli" był zgoła ujemny i nietylko, że nie wzmacniał więzi zbliżającej narodowości, lecz przeciwnie, budował jeszcze większe między nimi odległości. Myśli i sposób podania ich były dla chłopa obcemi, nie pasującemi do jego psychiki i rozumowania, podkreślały więc tembardziej różnicę między nami, a chłopem ukraińskim.

Oto po chwilowem zadowoleniu walorami artystycznemi jakiejś produkcji, słuchacz zaczyna myśleć po swojemu, zupełnie innym niż nasz rozumem.

— Jakto? — Wszystko mówiono o Polakach, legjonach, a my gdzie? Czyż podkreślają w ten sposób, że nie liczą się wcale z nami, że chcą nas wchłonąć w swój organizm, pozbyć się? Przecież i naszym wysiłkiem Polska się buduje!

Rodzi się konkluzja: — te szumne słowa są zwyczajnem „zamydlaniem" oczu, są robotą polonizacyjną, trzeba się strzec!..

To co słyszałem, jest przyszywaniem jedwabnych gałganków na grubej, wełnianej sukmanie chłopskiej. Doszedłszy do takiego przekonania, chłop zaczyna reagować: zamyka się w sobie, nikomu nie wierzy.

I rzeczywiście. Dowiedziałem się w rozmowie z pewnym chłopem, wyjaśniając mu cel naszych listopadowych wyjazdów, że postępujemy nieszczerze, że każdy z nas w duszy czuje odrazę i bojaźń uściśnięcia czarnej jego ręki.

Zaś próby pracy dla wsi, podejmowane są dlatego, że ktoś zgóry powiedział, aby tak robić. My wypełniamy to niemal mechanicznie, bez uczucia, serca, tylko dlatego, aby wywiązać się formalnie z zadania.

Nie wiem, może tak jest, może nasze postępowanie jest rzeczywiście nieszczere i stworzyło słuszne podstawy do takiego sądu—nie umiem na to odpowiedzieć.

Jedno jest pewne, że cel niezawsze osiągamy, musimy więc coś zmienić, przekształcić.

Pomyślmy nad tem.

Antoni Serednicki kurs IV.

PRZEGLĄD PRASY.

W nr. 11 „Życia Krzemienieckiego" ukazał się b. ciekawy artykuł p. prof. Mączaka p. t: „Gdy idziemy w powiat...", w którym umieszczone są myśli, jakie się nasunęły Autorowi w związku ze świętem 11-go listopada.

Na wstępie p. prof. Mączak zastanawia się nad tem, jaki ma być stosunek każdego inteligentnego obywatela do tego święta. „Czy w dniu dzisiejszym mają rozedrgać się wszystkie struny naszej duszy, czy też nas na gorący błysk oczu już nie stać?“ Takie pytanie stawia Autor pod wpływem uczucia, które Mu mówiło, że nie jest tak, jakby być powinno.

Następnie porusza ustosunkowanie się do Wołynia „przeciętnego, nudnego i znudzonego inteligenta wołyńskiego, który uważa się za bohaterską ofiarę przez to samo tylko, że łaskawie wogóle na Wołyniu tkwić raczy“, podkreślając jego brak zainteresowania i niechęć dla spraw naszych wielkich i ważnych.

„Tu widzą tylko brud, nędzę, walące się domy, tam—na zachodzie Polski, sam blask“. „Z ilu to urzędnikami się rozmawia, którzy uważają Wołyń nieomal za zsyłkę, zamiast cieszyć się, że dano im możność pracy, w której mogą się wypowiedzieć. Mogą pokazać, na co ich stać, a jakże często pokazują, na co ich nie stać!!“

Temu stosunkowi przeciwstawia p. prof. Mączak to, co widział w Wyszogródku, a co napełniło Go radością i dumą.

„Czy wiecie wy, zblazowani genjusze, wygodni inteligenci, co to jest Dom Ludowy w Wyszogródku? Że to jest ambicja, duma, troska, radość, sen, uśmiech, życie wszystkich! Wszystkich, słyszycie?! Przyjedźcie i posłuchajcie tonu głosu i zobaczcie siłę wzroku sędziego, nauczyciela, osadnika mieszczucha, dziecka każdego, każdego wyszogródeczczanina, gdy mówi: „Nasz dom! Myśmy wystawili! I te okna i pokoje i scenę, i salę, drugą w powiecie po kolumnowej! To nasz dom! Żyjemy teraz, schodzimy się, pracujemy, bawimy się!“

„Zobaczcie i posłuchajcie ich troski o każdy gwóźdź i zasuwkę—a przeżyjecie prawdziwie 11 listopada!!“

Również mocno podkreśla Autor zainteresowanie się wszystkich naszym przyjazdem (kurs IV Seminarjum). „I serce rośnie, jak wszyscy starają się nam pomóc w przygotowaniu: i gmina, i szkoła, i poczta i wszyscy! Bo to jest święto nas wszystkich, wszyscy w niem biorą żywy udział!“

„Czuliśmy my, goście zdaleka, że jesteśmy im bliscy, tak, jak nawzajem pokochaliśmy ich, tych porządnych, ambitnych a serdecznych pracowników zwyczajnego życia w małem, odsuniętem od świata, miasteczku!“

„W przemówieniach (podczas wspólnej pogawędki) prze-

wijała się szczera nuta prosby: żeby tak częściej przyjeżdżać do nich, to i lżej i lepiej potem pracować przychodzi".

Kończy p. prof. Mączak apelem do tych „ofiar": „Jeśli chcesz przeżyć święto nowej Polski, zrezygnuj z „śledzika" pożegnaj partnerów bridge'owych, a przyłącz się do jakiej grupy młodzieży, która jedzie w dn. 11 listopada w powiat! Wzbogacisz się, uradujesz, zobaczysz, że z jakichś zapadłych Wyszogródków, Michałówek, Antonowców, Sapanowów i innych idzie nowa Polska której ty nie znasz, a wydajesz sądy, idzie nowy świat, w którym nie śmiesz być tylko widzem pod grozą odpowiedzialności historycznej!!" Artykuł nie wymaga chyba bliższych komentarzy i radzę przeczytać go w całości.

J. Żułkosiówna kurs IV.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY.

Nawiązując do artykułu „Od Redakcji" zamieszczonego w nr. 1—2 N. W. piszę uwagi w celu zrobienia pierwszych kroków porozumiewawczych ze strony nas „czytających".

Odległość, która powstała pomiędzy redakcją, a czytającymi, jak okazało się, jest twardym orzechem do zgryzienia. Co wpłynęło na taki stan rzeczy, narazie trudno odpowiedzieć i bynajmniej nie podejmuję się tego. Chodzi mi przedewszystkiem o to, aby skonkretyzować jasno te „ciemne" punkty, wkoło których obraca się całe nieporozumienie, a które jednakże na tym terenie nie powinno mieć miejsca.

1. Jest błędem ze strony redakcji, wprowadzać w czyn te idee, których młodzież nie zrozumiała, względnie przyjąć nie chce. Ten kierunek postępowania doprowadza do coraz większego odgradzania się stron.

2. Redakcja posiada za mało inicjatywy w kierunku porozumienia się z ogółem młodzieży. Ograniczenie się do pisania artykułów wstępnych od redakcji nie podoła temu zadaniu. Innych zaś usiłowań nie widzę.

3. Sądząc z dotychczasowych numerów od początku ubiegłego roku szkolnego o przewadze artykułów i utworów kilku członków redakcji, nie może być mowy o pisemku „młodzieży licealnej", liczącej powyżej 350 osób.

4. O charakterze i w sprawach N. W. wypowiadać powinna się cała młodzież, której odzwierciadleniem jest pisem-

ko szkolne.

5. Czy mówienie o „wyższym poziomie" obecnego N. W. w porównaniu z N. W. lat ubiegłych nie jest zbyt ryzykowne?

J. Siemaszko kurs IV.

✤ ✤
✤

Jan Luśnia za ostatnią, dosłownie za ostatnią złotówkę, kupił los na loterji fantowej. Miał już taki charakter. Inni robotnicy za pieniądze zarobione pili, inni je zbierali, inni coś kupowali, a jeszcze innym rozchodziły się „czort wie naco".

A on naprzód zgóry płacił za komorne, za utrzymanie, regularnie co miesiąc, no i czasem coś niecoś kupił dla siebie.

Choć sam—bogaty jednak nie był. Miał jedno ubranie na codzień i jedno od parady, jedno palto, czapkę, trochę bielizny, dwa portrety rodziców, dwa oleodruki a pozatem nic. Meble były gospodarza.

Za pozostałe pieniądze grał Luśnia na loterji państwowej. Ale mu nie szło. Kilka razy wygrał stawkę, poważniejszej sumy nigdy. Wściekłość brała go czasem, ale grał. Dwadzieścia pięć lat.

Aż raz zauważył na afiszu, że w Macierzy jest loterja fantowa. Przeczytał raz, drugi i pomyślał:

„Fanty niby niczego, sprobuję".

Znalazł w kieszeni złotówkę, zaszedł i kupił bilet. Tym razem poszczęściło się. Wygrał patefon walizkowy z płytami. Były tam polki, oberki, mazury, walce, serenady i kilka piosenek.

„Dobre i to" — myślał.

A gdy koledzy śmiali się z niego i z jego „szczęścia" mawiał:

„Co chcecie, człekowi czasem ckni się. A ot, mam patefon, zagram, tak i przejdzie"

Przyczem machał ręką, pluł głośno i rękami obcierał usta. Musieli się z nim godzić.

*
* *

Od kilku miesięcy Luśnia siedział w domu, grał na patefonie, gryzł czerstwy chleb i szukał pracy.

Fabrykę zamknięto, a strajkujących robotników wyrzucono

na bruk. Rozsypało się bractwo za zarobkiem. Szukał go i Luśnia. Nawet kilka razy miał zajęcie, ale rzucał. Był leniem? Nie, broń Boże. Pracę znał i lubiał ją. Lecz, gdy zobaczył jakiegoś chudego, bladego „gościa", ojca kilkorga dzieci, co już od kilku dni chleba w ustach nie miał, odstępował mu pracę. Taki był honorowy.

Kręcił się więc po mieście, aż wreszcie postanowił iść do wsi na zarobek. Co miał z „grubszych" rzeczy, oddał za komorne gospodarzowi. Drobiazgi posprzedawał, a patefon zatrzymał. Mógł go sprzedać. Byli po niego różni kupcy. Dawali nawet niezgorsze sumy, bo patefon był jeszcze nowy, ładny i wygodny. Przychodził więc Berek koszlawy, Józwa, robotnik ślusarski, urzędniczka z kamienicy naprzeciwko, emeryt jakiś i wielu innych, ale Luśnia nie sprzedał. Uparł się i koniec.

* * *

Późnym wieczorem brnął na przełaj poprzez zaspy śnieżne, kierując się ku dalekim światłom. Pod lewą pachą niósł płyty, a w prawej ręce patefon. Niebo skrzyło się gwiazdami, nad polami unosiła się majestatyczna cisza...

„Ależ mroz. Brrr... zimno" — myślał Luśnia, potykając się o zamarznięte skiby, przysypane śniegiem.

Wtem zabrnął po brzuch. Położył więc obok swe manatki i powoli, dysząc ze zmęczenia, wyciągał ze śniegu zdrętwiałe nogi. Poczuł, iż dalej iść nie może. A gdy siadł na wzgórku zaspy, zmęczony wysiłkiem „zabijał" zdrętwiałe ręce i obtulał się przykrótką, starą jesionką. Ogarnęła go senność. Przypomniał sobie patefon. Strzeliło mu do głowy:

„zagram"

Ucieszył się tą myślą:

„... bo jak będę słuchał — nie zamarznę" — rozumował. Wsadził więc palec w usta, rozgrzał go i nastawił na chybił trafił jakąś płytę. Nakręcił i grał. Przegrał raz, nastawił drugi, i tak wkółko kręcił, grał, kręcił, grał.

Wsłuchany w melodję, przemarznięty i zmęczony, powoli usypiał... Tempo melodji coraz bardziej wolniało... Sprężyna wykręcała się.. Wtem Luśnia zerwał się obudzony turkotem i... światłem.

„Pociąg" — mignęło mu w myśli... było zapóźno.

* *
*

Notatka z dziennika głosiła: „Pociąg osobowy z przyczepionym pługiem, przejechał na śmierć bezrobotnego Jana Luśnię. Nieboszczyk, jak przypuszczają, nie zauważywszy widocznie szyn kolejowych przysypanych śniegiem odpoczywał i uległ tragicznemu wypadkowi. Przy zwłokach znaleziono szczątki patefonu."

J. Siemaszko kurs IV.

SKOK NARCIARSKI.

Łukiem tęczowym w niebo
wzbił się i zatrzepotał.
Dziobami nart rozdarł przestrzeń
lśniącem powietrzem omotał.

Zawisł wśród spojrzeń tysiąca
królewskim, chyżym sokołem...
Strzałą obleci ziemię,
— opasa swym czarem dokoła.

Wsłuchaj się sercem w tę ciszę
—hymn pełen odwagi radosnej...
On już tu do nas nie zleci,
swą równowagą —przeboski.

Br. Liżewski kurs IV.

SOSNA

Jesienna noc rozpięła na niezmiernem krośnie
Aksamitną oponę, złotem gwiazd sadzoną
I szepce razedrganej na rozdrożu sośnie
Dawno umarłych losów tęsknoty i żale...

A gdy szary świt przyjdzie —długo swą koroną
Sosna łzy ronić będzie i wzdychać żałośnie,
Zapatrzona w bezkreśne i zamglone dale..

Z. Dancewicz kurs III Rolny.

KROPLE ROSY.

Cmentarz. Szukałem grobu mego ojca. Ociężałe rosą gałęzie bzów zagradzały mi drogę, za lekkiem poruszeniem otrząsały rosę, która spadała głucho na trawę i liście. Chmury przysłoniły zachodzące słońce, w powietrzu przesyconem mroczną parą unosiła się złowroga cisza, tylko zdaleka dochodziły słabe nawoływania pastuchów, a w pobliżu, od czasu do czasu, krople rosy spadały na ziemię z monotonnym jękiem, lub jakaś gałązka z drzewa spadająca, utknęła w trawie z niedosłyszalnym prawie szelestem.

Krzaki bzów stały nieruchomo i zdawaćby się mogło, że wyczekują czegoś z nieopisaną ciekawością, lub zdrętwiały z nadmiernego przerażenia. Gałęzie niektórych, daleko wysunięte, koślawo czepiające się powietrza, jakby chciały się chwycić czegoś, robiły wrażenie konwulsyjnych skurczów, zamarłych, skamieniałych . . .

Dostrzegłem. Dębowy krzyż. Nowy jeszcze— poznałem go. Opadły mię wspomnienia. Widziałem znów zimowy zachód słońca, świeżo wykopaną mogiłę i słyszałem dudnienie skostniałej ziemi o wieko trumny, rozdzierające dudnienie, którego nigdy nie zapomnę, które tak głęboko wżarło się w moją pamięć, że pozostanie chyba na nazawsze... widziałem skamieniałe twarze, wolno spływające łzy... Krwawe promienie zachodzącego słońca padały na nie ze spokojnem urąganiem . . .

Teraz krzak lilij wznosił na tem miejscu pęk rdzawych kwiatów. Pochyliłem się nad niemi, zdawało się, że słyszę łagodny głos, który tak zawsze staram się odtworzyć w swojej wyobraźni, przez głowę przemknęła mi ukochana myśl, że może będę mógł Go zobaczyć... Trwało to chwilkę... na twarz moją i ręce spadły duże krople rosy — jasne, przejrzyste, chłodne.

J. Sawicki kl. VI.

OD ADMINISTRACJI.

Uprzejmie prosimy wszystkich prenumeratorów Naszego Widnokręgu o regularne wpłacenie należności za poszczególne numery. Bowiem nie wnoszenie tych opłat na czas, uniemożliwia regularne wydawanie pisma, gdyż Nasz Widnokrąg jest instytucją samowystarczalną i żadnych subsydjów nie posiada.

LISTY Z PODRÓŻY.

W numerze obecnym rozpoczynamy druk listów byłego naszego kolegi Antoniego Bereżeckiego, który obecnie na statku szkolnym polskiej marynarki handlowej „Dar Pomorza“ odbywa podróż naokoło świata. Listy pisane do klasy, której członkiem był kolega Bereżecki, zostały łaskawie oddane do dyspozycji redakcji przez wychowawczynię tej klasy p. Miller.

13.X. 34 r. Atlantyk „Dar Pomorza“

Kochani Koledzy!

Dziś mając trochę wolnego czasu (angielska sobota) zdecydowałem się napisać do Was list. Znajdujemy się obecnie na wysokości Gibraltaru i walimy wprost na południe.

Zacznę od początku. Gdy zostałem zaokrętowany, to odrazu się rozczarowałem. Tu pracy jest moc, ciągle nas gonią, a dekować się nie można. Od zaokrętowania się aż do dzisiaj nie przespałem ani jednej całej nocy (minęły czasy licealne). Wyjątek stanowi noc po zastrzyku na cholerę, tyfus i czerwonkę, gdy miałem 40° gorączki. Na drugą noc miałem już tylko 38° i doktór powiedział mi: „Macie tylko 38°, więc was zwolnić nie mogę“. W Liceum leżałbym dwa tygodnie i jeszcze czułbym się źle, a tu — wciąż trzeba stawiać żagle i zwijać, brazować, na choroby niema czasu.

W podróż naokoło świata wyjechaliśmy z Gdyni 16.IX (w niedzielę). W sobotę był raut reprezentacyjny, a w niedzielę żegnały nas tłumy publiczności i marynarka wojenna. W dwa dni później byliśmy w Kopenhadze i tu przekonałem się, że cokolwiek słyszałem o Danji—było prawdą. Tu nie spotyka się prawie pieszych. Ulice roją się od rowerów, wzdłuż chodników stoi moc specjalnych stojaków do stawiania rowerów. Prawie wszyscy mężczyźni i kobiety są wysocy i blondyni. Miałem tu sposobność przekonać się o uczciwości Duńczyków. Poszedłem z jednym z moich kolegów na pocztę zmienić forsę. Zmieniliśmy, zapłaciliśmy za znaczki, kartki i wyszliśmy. Po godzinie zauważyliśmy, że pieniędzy nie mamy, zostawiliśmy je przez nieuwagę na poczcie przy okienku. Wróciliśmy i zastaliśmy dolary leżące na tem samem miejscu.

Wiecie jak ja nie lubiłem się wkuwać „niemca“, czego

teraz bardzo żałuję. W Krzemieńcu nie odczuwa się nieumiejętności języków, lecz tu—na każdym kroku. Radzę też wszystkim „wkuwać się“, aby nie żałowali potem tak, jak ja.

Błąkając się po parku w Kopenhadze natknęliśmy się na jakiegoś pana (nie policjanta, gdyż tu policjantów niema, każdy sam dla siebie jest policjantem), któremu z trudnością wytłumaczyłem po niemiecku kim i skąd jesteśmy. On okazał się fabrykantem farb okrętowych, był bardzo grzeczny, wziął nas do swego auta, zawiózł do swojej fabryki, wszystko objaśniał (nic naturalnie nie zrozumiałem), następnie obwiózł po mieście; pod wieczór zajechaliśmy przed największą cukiernię i kawiarnię Danji i całej Skandynawji „Scala“. I jakież było nasze zdumienie, gdy na sali ujrzeliśmy stolik z polską banderą w środku, a dwoma duńskiemi po bokach. Nasz znajomy w międzyczasie zamówił dla nas kolacyjkę i dancing. Do godz. 22 bawiliśmy się z Dunkami. Następnego dnia odjazd. Na morzu na terenach wolnocłowych, można wszystko kupić w kantynie statku po cenach bajecznie niskich. Jedzenie mamy pierwszorzędne (licealne niedzielne nie dorównuje). Codziennie dostajemy po kilka pomarańcz i ananasa. Ananasów nie jadam wiele, są wstrętne, pomarańcze też mi się przejadły... Terazbym wolał jedno jabłko, niż 10 pomarańcz. Przybyło mi 4 kilo...

Po przebyciu Skattegatu i Skagerraku wjechaliśmy na Morze Północne i tu spotkaliśmy pierwszy sztorm. Nie będę dużo o nim pisał, gdyż każdy wyobraża sobie, jak to wygląda. Dosyć powiedzieć, że nasz „Jacht Miłości“ skakał jak w polce, my zaś nieprzyzwyczajeni do takiego kiwania lataliśmy z jednej burty na drugą, jak naczynia w kuchni. W dodatku 80% z nas zachorowało na morską chorobę. Ludzi do pracy na gwałt było potrzeba, a tu wszystko leży, fale walą przez pokład i chociaż byliśmy w ceratach od stóp do głów, to każdy z nas przemókł do nitki. Wiatr był tak silny, że unosił pył wodny i sypał nim, jak gęstym deszczem... Fale ryczą, wiatr gwiżdże, a Komendant krzyczy przez tubę—bałagan. Przez całą noc nikt nie spał.

Po jakimś czasie wjechaliśmy w kanał La Manche. Tu otrzymaliśmy depeszę od p. Marszałka Piłsudzkiego, w której życzył nam dobrych wiatrów. Jednakże w złą godzinę była ona wysłana, bo za kilka godzin dostaliśmy drugą depeszę, tym razem z Douvre, abyśmy się schowali do jakiegoś portu,

gdyż przez kanał przejdzie niebezpieczny sztorm. Noc. Widzimy brzegi Anglji z czerwonemi sztormowemi latarniami. Jedziemy dalej... Znów ta sama historja, z tą różnicą, że nie zdążyliśmy zwinąć żagli i siedem z nich pękło. Nie było rady, trzeba było oliwę wylewać za burtę. Wywiesiliśmy dwie czerwone latarnie na boku oznaczające: „statek nie odpowiada za swoje ruchy“ i musieliśmy przymusowo zawinąć do jakiegoś małego, angielskiego portu. Nikt z nas na brzeg nie wychodził, gdyż było moc roboty na statku... W kanale ruch ogromny — widać moc statków i kutrów rybackich. Spotkaliśmy także kilka angielskich, amerykańskich i niemieckich statków pasażerskich potwornych rozmiarów. Takich w Gdyni zobaczyć jeszcze nie można...

Dziś jesteśmy miesiąc na morzu bez żadnego przystanku —smutno—nic tylko morze i morze (czasem deszcz)..

Na Atlantyku nieco się zmieniło, fala bardzo długa, statek kołysze się mocno, lecz leniwie, z burty widać śliczny, koloru nieba, Atlantyk. Mewy, które dotychczas latały, znikły...

Parę dni temu wjechaliśmy w strefę passatów (fajno!) brazować reji nie potrzeba, gdyż passat sam ciągnie na południowy zachód, rozwinęliśmy wszystkie 25 żagli i płyniemy z szybkością 11 ½ węzła na godzinę (276 mil na dobę, 480 km.). Już teraz dni są tak upalne, że im nie dorównują najgorętsze dni naszego lata w kraju. W dzień chodzimy tylko w kąpielówkach, każdy opalony jak po wakacjach. Temperatura wody wzrasta ciągle. Trzy dni temu 18°C, a wczoraj 22.5°C. Noc natomiast jest stosunkowo chłodna. Wysoka amplituda...

Wczoraj, miałem (byłbym miał) wypadek, przy wieczorowem spuszczaniu i zwijaniu ostatniego bom żagla (41 m. ponad pokładem) pośliznąłem się na percie —zrobiło mi się zimno—zacząłem spadać. W ostatniej jednak chwili chwyciłem się kurczowo za pertę, otrzeźwiałem —usłyszałem krzyk na pokładzie i głośne uwagi oficera, wciągnąłem się na pertę i zwijałem dalej żagiel—było mi teraz strasznie gorąco.

Otrzymaliśmy depeszę, że 200 mil za nami płynie w tym samym kierunku i chce nas wyprzedzić statek szkolny belgijskiej marynarki handlowej „Merkator“. Myli się jednak bardzo jeżeli myśli, że mu się to uda. Dziś robimy 13 węzłów i mijamy parowce. Jutro napewno będziemy w Santa Cruz i tam dopiero się spotkamy.. Jedzie on tą samą trasą co i my, aż do Hawai. (c. d. n.)

SERCE MATKI.

Jest jeden dzień w roku— ostatnia niedziela maja— poświęcony na uczczenie najmocniejszej i nieznającej granic poświęcenia miłości. Jest to—dzień święta Matki.

W tym dniu znikają przekonania polityczne, znikają różnice klasowe i stopnie rozwoju umysłowego, pozostaje tylko jedna wielka rzecz: Serce Matki.

W tym samym dniu wybiegam myślą dalej, ku tym niezliczonym rzeszom skrzydlatych i czworonożnych istot.

Myślę i robię także rachunek sumienia, szukam postępków, przez które mógłbym niebacznie, czy świadomie zranić serce matki.

Bowiem—słowo Matka i ogrom miłości i poświęcenia Jej serca są w swej wielkości zawsze jednakowe.

Wystarczy być matką, aby z jednakową siłą odczuć ból, pochodzący z krzywdy jej dzieciom wyrządzonej, — i dlatego zabranie suce szczeniąt, wybranie z gniazda jaj, lub piskląt, zabicie starki w chwili, kiedy świadomie poświęca się ona dla uratowania swych dzieci. — to są wszystko wielkie krzywdy, wyrządzone Sercu Matki.

Widziałem kuropatwę, która z rozpuszczonemi skrzydłami i próżnym krzykiem rzucała się na psa, podczas gdy młode przebiegały wykoszony kawałek łąki i chowały się w wysokiej trawie.

Miałem sukę, która wyciągnęła z płynącej obok domu rzeczki parę martwych już szczeniąt, gdzieś w górze do wody rzuconych, i przyniosła je do swego legowiska. Tuliła je do siebie, chcąc ciepłem swego ciała wrócić im życie.

Takich i podobnych przykładów mógłbym przytoczyć wiele. Są to wszystko rzeczy wielkie, godne najwyższej uwagi. Niestety, są one tak często zapominane i lekceważone; często nawet nie przez złość, lecz poprostu przez brak zastanowienia. A zapominać o tem nie wolno. Szczególnie tym, którzy często obcują z przyrodą.

Sezon polowań jest w pełni. Roją się pola ludźmi, huczą strzały. I właśnie w gorączce tych strzałów tak często zapomina się o wszystkiem.

Widziałem myśliwego, który młodą kaczkę, złapał rękoma, ukręciwszy jej głowę, spokojnie włożył do siatki.

Prawa ustanowione przez człowieka niezawsze są zgodne z prawami przyrody. Jakże często w rozpoczętym już sezonie

myśliwskim zdarza się, że od strzałów ginie samica-matka.

Wniosek z tego jest jasny—człowiek częstokroć dla zaspokojenia własnych ambicyj myśliwskich, wyrządza przyrodzie niepowetowane straty. A czyż godnem jest z punktu widzenia ludzkiego zabić matkę?

Zrewidujmy wszyscy swój stosunek do przyrody, a napewno będziemy musieli się niejednokrotnie zaczerwienić.

Z. Dancewiez III kurs Rolny.

HISTORJA ZBIÓREK PORANNYCH.

W roku szk. 1928—29 codziennie zrana, przed lekcjami młodzież zbierała się w sali Kolumnowej, gdzie odbywały się zbiórki obu zakładów. Trwało to kilka miesięcy, po których ze względów technicznych organizowano zbiórki do trzech razy na tydzień.

Na zbiórkach tych p. dyrektorzy podawali komunikaty dyrekcji, a gdy zaszła tego potrzeba i wymagała chwila bieżaca, referowali sprawy i zagadnienia aktualne.

Taki stan rzeczy przetrwał rok. W następnym już roku t. zn. 1929—30 oba zakłady mają zbiórki oddzielnie nietylko ze względu na miejsce, w których się odbywały, ale ze względu i na czas.

Seminarjum miało więc je systematycznie co tydzień w czwartek w sali Kolumnowej, gimnazjum — rzadziej w sali Kolumnowej.

W Seminarjum jak zresztą i Gimnazjum organizowali, prowadzili i wypełniali zbiórki pp. dyrektorzy, czasem głos zabierał ktoś z Grona Nauczycielskiego, a niekiedy młodzież, zdając systematycznie sprawę z życia klasowego i wycieczek.

Stan ten trwał nadal w gimnazjum. Natomiast w r. 1930-31 w seminarjum zbiórki uległy reorganizacji. Mianowicie na wniosek ówczesnego V. kursu, którego wychowawczynią była p. Sanojcówna, zbiórki przejęła młodzież, która miała je nietylko organizować, lecz całkowicie wypełniać ich program. Odbywało się to w ten sposób, że na każdej zbiórce zgłaszał się do prowadzenia następnej, jakiś kurs. Odpowiedzialnym za zbiórki był kurs V, który w wypadku niezgłoszenia się żadnego z kursów do prowadzenia, wypełniał program.

Taki stan rzeczy przetrwał z małemi zmianami do dnia dzisiejszego. W r. 1931—32 wprowadza się na wniosek kur-

su V. księgę protokółów zbiórek.

W r. zaś 1933 i 34 znów na wniosek V. kursu, którego wychowawczynią była p. Falkowska Jadwiga, młodzież zgóry opracowała program zbiórek na cały rok. Przedstawiał się on następująco:

1. Komunikaty szkoły.
2. Sprawy zasadnicze.
3. Wiadomości ze świata.
4. Życie szkoły.

Inowacją był tu punkt p. t. „Sprawy zasadnicze“. Otóż zgłaszający się ochotnicy z poszczególnych kursów, opracowali szereg referatów związanych z współczesnem Liceum. Tematami referatów było więc: podstawy prawne Liceum, jego działalność społeczna, majątek, dobra, szkoły i t. p. Tak oto przedstawiał się rozwój zbiórek na terenie Seminarjum, a w Gimnazjum zbiórki nie przybrały podobnego charakteru.

Od czasu do czasu, oba zakłady urządzały wspólnemi siłami zbiórki, gdy tego wymagała potrzeba chwili.

Na czem polegała dla nas wartość zbiórek?

Wiadomo, że w szkole klasy żyją życiem odrębnem, podobnie rzecz się ma z organizacjami.

Dochodzi zwyczajnie do tego, że tylko w niektórych rzadkich, uroczystych, przeważnie oficjalnych chwilach, czujemy się jedną szkołą.

Zbiórki dawały właśnie sposobność zaznajomienia się z życiem i pracą całej szkoły, często nietylko szkoły, ale i instytucji, której członkami jesteśmy.

Wymiana myśli, krótka dyskusja, były tym łącznikiem, który spajał jednostki i klasy w jedną całość szkolną.

Istniejąca bowiem organizacja Rady Wójtów niema danych, by realizowała te założenia.

Nie chcielibyśmy, aby formy naszego „zżycia się“, które po długiej ewolucji osiągnęliśmy, zamarły w bezruchu lub skostniały. Proponujemy, by w dalszym ciągu żyły, przechodząc z jednego kończącego się zakładu na drugi, przed którym stoi przyszłość.

Wierzymy, że ta forma współżycia jaką przyjęliśmy okaże swą żywotność.

J. Siemaszko kurs IV.

HISTORJA BRATNIEJ POMOCY MŁODZIEŻY L. K.

Bratnia pomoc istniała nieoficjalnie od 1922 r.; dopiero 19 października 1924 r. odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie. Od tego czasu na terenie B. P. zawrzała ożywiona praca w stworzonych sekcjach: finansowej, oświatowej, teatralno-rozrywkowej. Założono kółko pedagogiczne, krajoznawcze i polonistyczne; to ostatnie założyło czytelnię, w której znajdowało się około dwudziestu paru czasopism i dzienników, w kole tem usiłowano stworzyć pisemko, któremu już dano nazwę „ognisko licealne", ale z powodu braku artykułów, stojących na odpowiednim poziomie i niedostatecznych funduszów pisemko wyjść nie mogło. Już w r. 25 zaczęto organizować bibljotekę z książek składanych przez członków.

Koło krajoznawcze urządzało odczyty i wycieczki.

Staraniem koła pedagogicznego odbywały się odczyty, które miały na celu roztrząsanie zagadnień z dziedziny psychologji i metodyki.

Sekcja teatralna w 25 r. dała 5 przedstawień i urządziła 3 zabawy. Od tegoż roku istnieje sąd koleżeński, który jednak nie roztrzyga żadnej sprawy.

Działalność B. P. z każdym rokiem rozwijała się szybciej: Staraniem sekcji kulturalno-oświatowej w 26 r. powstało 5 kółek:

1) Polonistyczne, które w 27 r. zmienie nazwę na „Towarzystwo ćwiczących się w poprawnem mówieniu i pisaniu."

2) Historyczne.

3) Krajoznawcze, które dzieliło się na sekcje: odczytową, prehistoryczną. Staraniem tego koła zostało założone pismo krajoznawcze „Nasz Widnokrąg," na wydawanie którego czerpano dochody ze składek. Pismo to nie cieszyło się wielką popularnością wśród młodzieży, co utrudniało pracę „N. W.". W r. 28 „N. W." z pisma Koła Krajoznawczego staje się organem całej młodzieży. W r. 29 uchwalono, że każdy członek B. P. obowiązkowo musi kupić numer „N. W." (30 gr.); uchwała ta przestała obowiązywać już w r. następnym.

4) Koło Pedagogiczne.

5) Koło Fizyczno-matematyczne, które w 28 r. dzieli się na sekcję technologiczną i radjotechniczną (koło liczy 29 członków).

15.XII 26 r. powstaje sekcja intelektualna, która miała na celu zgłębianie kwestyj społecznych. W tym też roku pchnięto naprzód pracę w sekcji sportowej, która dzieliła się

na podsekcje: 1) lekkoatletyczną, 2) instruktorską, 3) piłki nożnej, 4) piłki koszykowej, 5) tenisową, 6) sportów zimowych.

W założeniu B. P. wiele zasług położył p. dyrektor Paluchowski; w 26 r. prezes B P. Wilk Stefan na walnem zebraniu mówi: „Wdzięczność bezgraniczna powinniśmy okazać szanownemu Panu Dyrektorowi Paluchowskiemu, jako założycielowi B. P. Dzięki Niemu tętni życie organizacyjne w B. P. i dzięki istnieniu tej organizacji, mamy możność poznać się i zbliżyć wzajemnie“.

Wielką zasługą B. P. było częściowe zatarcie antagonizmu między Gimnazjum i seminarjum. W miarę rozwoju instytucji statut B. P. był zmieniany i przystosowywany do warunków a szkoła, widząc wielkie znaczenie organizacji, roztoczyła nad nią opiekę.

Opiekunami B. P. z ramienia szkoły byli: p. Berger, p. Szuler, ks. Szafrański, p. Sanojcówna, ostatnio opiekunem jest p. Guzik. W r. 29 zachodzą wielkie zmiany w B. P. — od tego roku wszelkie koła na terenie szkoły przestają być agendami B. P.

A w r. 31 koło krajoznawcze dostaje statut, zatwierdzony przez p. wizytatora Poniatowskiego i staje się instytucją niezależną. W tym też roku spółdzielnia „Prąd“, założona przez B. P. w 27 r., przestaje należeć do tej organizacji.

W r. 1932 wynikła potrzeba opracowania nowego statutu. Statut został opracowany przez „komisję tymczasową“, a następnie został zatwierdzony przez władze szkolne i istnieje bez zmian do dziś. Zgodnie z statutem, B. P. prowadzi dziś bibljotekę, dział pomocy materjalnej, biuro pośrednictwa pracy, urządza imprezy dochodowe.

„Komisja tymczasowa“ uporządkowała jako tako księgowość, nieumiejętnie dotąd prowadzoną i oddała kierownictwo zarządowi, który doprowadził do końca uporządkowanie księgowości i poszedł w kierunku dokładnego określenia zakresu działań sekcyj istniejących w B. P. i zwiększenia stypendjów kosztem pożyczek.

Zarząd ten dążył do tego, by przełamać bierność członków, by w pracy B. P. brała udział możliwie cała młodzież; wysiłki skierowane po tej linji dały nieznaczne wyniki.

Od początku istnienia B. P. zaznaczyły się pewne braki w działalności poszczególnych sekcyj, przyczyną których było nieodpowiednie ustosunkowanie się członków do prac zaini-

cjowanych przez zarząd. Bierność. małe zainteresowanie, nieposzanowanie dobra ogólnego i brak poczucia odpowiedzialności za prace podjęte utrudniały pracę. a wysiłki zarządów podejmowane w celu przełamania ogólnego nastawienia członków spełzały na niczem. Oto co pisze kol. Jagiełło: (uwagi i refleksje) w zeszycie szóstym Naszego Widnokręgu z r. 1934. W obecnym roku szkolnym stosunek młodzieży do B. P. zmienił się na lepsze. Świadczy o tem czynne zainteresowanie się loterją, która oprócz dochodu dała coś więcej, a mianowicie: potrafiła skupić całą młodzież we wspólnym wysiłku. Na tej podstawie sądzę, że nie przeszły bez echa słowa kolegi Jagiełły: „Koleżanki i koledzy! Otrząśnijmy się z odrętwienia i obojętności dla spraw B. P. Nas młodych powinna charakteryzować chęć do życia czynnego, do pracy dla dobra drugich. Mając możność należenia do naszej własnej organizacji młodzieży, gdzie jest pole do popisu, gdzie możemy zaprawiać się do życia społecznego,—powinniśmy wykazać swoją inicjatywę, ruchliwość, chęć dążenia naprzód i tworzenia czegoś nowego, coby nam bardziej mogło umożliwić współżycie. Przykładem dla nas niech będą świetlane postacie młodzieży z czasów Polski porozbiorowej. Wówczas młodzi dążyli do odzyskania niepodległości,—my zaś dziś w Odrodzonej Ojczyźnie, nie będąc niczem krępowani, wytwórzmy w sobie kult dla pracy społecznej—dla dobra ogółu.

K. Wołkowiński kl VIII.

Z ŻYCIA LICEUM.

Coś o Zuchach. Czuj!

W październiku, ubiegłego roku, niektórzy z nas przechadzając się obok małego boiska, stawali zdziwieni i zaciekawieni widokiem gromady chłopców ze szkoły Ćwiczeń, którzy z entuzjazmem urządzali „zawody lotnicze". Co chwila sypały się okrzyki i słowa prośby: „Bajan!" „Bajan"! lub: „Wodzu, teraz ja!" „A kiedy ja?" i t. d. Po zawodach indywidualnych, nastąpił konkurs ogólny. Chłopcy-zuchy, w tej chwili zawodnicy Challenge'u ustawili się wzdłuż jednej linji. „Na start", „do lotu", „lot". Na ostatnie magiczne słówko, wzleciało do góry trzydzieści papierowych ptaków, by osiągnąwszy pewną wysokość, ładnie wylądować o 10 metrów od linji. Radość niesłychana. Zwycięzcę uczczono długą, a huczną

rakietą. Była to jedna z pierwszych zbiórek gromady Krzemienieckich Zuchów.

Gromada Zuchowa!? „Co za nowy pomysł". Pomysł nienowy. Zaczęło się w Anglji. Sir Robert Baden-Powell w 1913 roku tworzy przy organizacji skautowej osobne prużyny dla dzieci od lat 9—11 pod nazwą „Wolf-Cubs" równoznaczne ż polskiemi „wilczętami". W Polsce jednak ta nazwa się nie przyjęła ze względu na znaczenie słowa „wilk". W roku 1926 polskie harcerki czynią wyraźne kroki w celu zreformowania, ujednostajnienia i pchnięcia naprzód oryginalnego polskiego ruchu zuchowego.

Wilczęta, potem zuchy, istnieją w Krzemieńcu od 1926 roku. Gromada ta była mieszana, prowadzana przez harcerki. Od roku 1931 następuje podział gromady na chłopców i dziewczynki. Praca zaczęła się na dobre. Co za praca? Na czem ona polega? Praca w gromadzie jest to wielka zabawa w chłopców-zuchów. Zabawa trwająca całe tygodnie, miesiące i lata Jest to zabawa w chłopców zuchów, którzy są odważni w mówieniu prawdy, są zwinni i zręczni, mają bystre oczy, bystre palce i bystre głowy. W gromadzie bawimy się pewnemi ośrodkami, np.: w lotników, w zbójników, w Hucułów, w Indjan, w Słowian, w Poleszuków i t. d. Poznajemy zwyczaje, tańce, pieśni, ubiór, i gwarę danej grupy etnicznej, bawiąc się w lotników—budujemy samoloty, urządzamy konkursy, zawody i t. d. Bawiąc się w marynarzy budujemy łodzie, śpiewamy marynarskie pieśni (zuchowe) i t. d. Dzieci zuchowaniem są przejęte bardzo, czego dowodem mogą być zapytania, jakiemi codzień obsypywany bywa wódz: „Druhu! Kiedy zbiórka?" „Dlaczego tak długo niema zbiórki?" — „Wodzu, my chcemy zbiórki!"

Jeden z zuchów zachorował, nie mógł być na zbiórce. Męczył ojca dotąd, aż ten przyszedł osobiście na zbiórkę i usprawiedliwił go. Ze strony rodziców i szkoły zainteresowanie ogromne, dowodem czego obecność matek, czy p.p. nauczycielek na zbiórkach W grudniu odegrały dzieci przedstawienie p. t. „Św. Mikołaj u zuchów". W połowie stycznia odbyła się obietnica zuchowa i rozdanie gwiazdek. Obecnie jeździmy na nartach i bawimy się w zimę.

Wódz.

* *
*

Zbiórki poranne.

Sprawa od kilku już lat domagająca się załatwienia, zreorganizowania naszego sklepiku „Prąd“ na spółdzielnię, znalazła swe odbicie w dążeniach teraźniejszego Zarządu.

Na zbiórce w dn. 24.XI. poświęconej tej sprawie z referatu kol. Korczakowskiego, dowiedzieliśmy się o historji „Prądu“ od założenia do dnia dzisiejszego.

Zaś kol. Markiewicz przedstawił nam w swoim referacie ideę zreorganizowania sklepiku i jej stronę organizacyjną.

W wolnych wnioskach sprawozdawca ze zbiórek, poruszył drażliwą, lecz aktualną sprawę zachowania się młodzieży w czasie niektórych ważnych i uroczystych chwil.

Zbiórkę prowadził kurs IV.

* *
*

Dnia 29.XI w 101 rocznicę tragicznie zakończonego powstania listopadowego, kl. IIb. przy współudziale kol. Puzichowskiego z kursu V-go i kol. Rumla z kl. VIII zorganizowała zbiórkę.

Referat kol. Wyrożemskiej z kl. IIb. obejmujący sam moment powstania, ilustrowany był deklamacjami biorących współudział kolegów i sympatycznemi śpiewami chóralnemi oraz deklamacją zbiorową organizatorów.

* *
*

Tematy polityczne, zajmujące żywo umysły wszystkich są w tym roku dość szeroko omawiane na naszych zbiórkach.

I tak w dn. 7.XII. z referatu kol. Kwaśnika dowiedzieliśmy się o zatargu, jaki powstał między państwem węgierskiem a jugosłowiańskiem na tle zabójstwa króla Aleksandra.

Referent zwrócił uwagę na działalność i znaczenie Ligi Narodów, która na drodze dyplomatycznej chce przeszkodzić zbrojnema konfliktowi.

Tematem referatu kol. Iwaszczuka była mowa p. premjera Kozłowskiego z dn. 31.IX. która się szerokiem echem odbiła w społeczeństwie całem.

O unifikacji „Siewu“ i „Związku Młodzieży Ludowej“, który to fakt świadczy o zapanowaniu zdrowych stosunków pośród młodego pokolenia wsi, powiedział nam w swym referacie kol. Krupa.

Równocześnie z tym faktem, Związki Spółdzielcze „Unja,“

i „Zjednoczenie", dokonały również unifikacji.

Ze sprawozdania sportowego kol. Rumla dowiedzieliśmy się o szeregu sukcesów drużyn polskich w zawodach z drużynami, dotyczas zwycięskiemi Niemiec.

Zbiórkę prowadził kurs V.

* *
*

W dn. 12.I.1935 r. Koło Wychowanków p. J. Falkowskiej zorganizowało i wypełniło zbiórkę dla młodzieży Seminarjum..

Z referatu kol. Sztejmanówny dowiedzieliśmy się o przebiegu zeszłorocznej matury, króra odbyła się w bardzo miłej i przyjaznej atmosferze.

O położeniu nauczycieli-praktykantów poinformowała nas kol Nurkówna. Jak należy wnosić z refaratu. położenie ich w ostatnich latach polepszyło się dzięki coraz lepszemu rozumieniu roli nauczycielstwa przez społeczeństwo i przez lepsze bardziej troskliwe odnoszenie się władz szkolnych.

Kol. Malinowska, jako prezęska koła zaznajomiła nas z organizacją i odczytała list-odezwę do członków w terenie i na wyższych uczelniach.

Wkońcu kol. Kulinicz w kilku obrazkach przedstawił nam stronę humorystyczną praktykującego nauczyciela na wsi (z doświadczeń swoich i kolegów).

* *
*

„13 I.1935 r. Plebiscyt w Saarze. Europa czeka w napięciu wyniku"...

19 I. zbiórka sobotnia poświęcona była sprawie saarskiej. O dziejach Saary i jej położeniu gospodarczem powiedział nam kol. Jagłem.

Przebieg i wynik plebiscytu oświetlił w swoim referacie kol. Paladino.

Kol. Gryjelski odczytał mowę prezydenta Rzeszy Hitlera, wygłoszoną z okazji rewelacyjnego wyniku i przyłączenia zagłębia do Rzeszy Niemieckiej.

Zbiórkę organizowała kl. VII.

* *
*

28.IX. w dzień patrona założyciela naszej Instytucji w sali Kolumnowej odbyła się zbiórka poświęcona Jego pamięci.

W pierwszej części zbiórki p. prof. Jaruga przedstawił

nam Tadeusza Czackiego na tle jego epoki, uwypuklając w ten sposób zasługi i wartości tego wielkiego męża.

W drugiej części, młodzież cała odśpiewała dwie pieśni: „Użyjmy dziś żywota“ i „Radujmy się“, podkreślając w ten sposób radość z życia i młodości, jaką żywili współcześni Czackiemu filomaci.

J. Siemaszko kurs IV.

SPORT.

Dnia 20.I. r. b. odbyły się międzyszkolne zawody narciarskie w konkurencjach: bieg 4 km. dla najmłodszych, biegi 9 km. i 12 km. dla starszych i konkurs skoków na małej skoczni. Największą frekwencją zawodników cieszył się konkurs skoków; konkurencja ta zyskuje sobie wśród młodzieży coraz więcej zwolenników. Zaznaczyć także należy, że nie wszystkie szkoły wzięły udział w zawodach.

Wyniki:

Bieg 4 km. 1-sze—szkoła powszechna nr. 1; 2-ie—Liceum.
Bieg 9 km. 1-sze—Gimnazjum Samorządowe; 2-ie—Liceum.
Bieg 12 km. 1-sze—Szkoła Rolnicza, Białokrynica.

Konkurs skoków:

1-sze miejsce—Krzehlik Jan—Liceum 57 p.
2-gie „ —Łoziński — „ 53 p.
3-cie „ —Kołłątaj — „ 51 p.

DZIAŁ MŁODYCH

ŚWIĄTECZNE NASTROJE.

Już na miesiąc przed świętami odczuwa się pewien nastrój. Mówi się dużo o podarunkach, choince, zabawach. Na dwa dni przed „rozpuszczeniem szkoły“ każdy chodzi rozgorączkowany, podniecony z powodu blizkiego rozdania świadectw. Wreszcie wszyscy je otrzymują i pędzą co sił do domu.

Już od drzwi uderza nas miły zapach migdałów, pomarańczy i t. p. Właściwie zawadzamy. Jednak, gdy chodzi o pójście do sklepu, jesteśmy na pierwszym planie. Potem kręcimy się po całem mieszkaniu nie wiedząc, co z sobą zrobić. Nareszcie nadchodzi upragniony wieczór; ubieramy choinkę i z

niecierpliwością czekamy pierwszej gwiazdy. A potem opłatek, świeczki jarzące się na choince... siano mile szeleszczące pod obrusem... świąteczny i uroczysty nastrój... To wszystko wywiera na nas tak wielkie wrażenie, iż na chwilę poważniejemy, zamyślamy się. A cóż za radość, gdy przez zaśnieżone szyby zamigoce wielka, stubarwna „gwiazda" i świeże, wesołe dziecięce głosiki zaśpiewają „Wśród nocnej ciszy..."

Dwunasta godzina.—czas na pasterkę. Idziemy do kościoła po wesoło chrupiącym śniegu. W kościele pełno ludzi. Msza... Naraz aż szyby drgnęły—tak potężnie buchnęła pieśń, chwaląca Dzieciątko. A potem wesoły powrót do domu. Budzimy się nazajutrz z głową pełną wrażeń, a w pokoju stoi ustrojona, jak panna młoda, choinka. Potem goście, muzyka, zabawy. Kilka dni ciszy i Nowy Rok. Od samego rana budzą nas chłopcy, dobijający się do drzwi. Po wpuszczeniu ich, wesoło pokrzykując i pośpiewując, rzucają ziarna, wróżąc dosiego roku. I wreszcie ostatnie święto—Trzech Króli. Oglądamy przedstawienia i szopki, w których przedstawiony jest hołd Trzech Króli. Jeszcze kilka dni lenistwa i znów szkoła. Wraca się do niej, wspominając święta i czekając z upragnieniem następnych.

Karczmarska Helena kl. Ia.

WIGILJA.

Z starego stołu
z białego obrusa,
gdzie chrzęści sypkie siano,
z mrocznego kąta
czysto zmiecionego,
gdzie duży snop stawiano
w pamięci mej zostało
tylko dalekie wspomnienie.

Wieczór — wigilja,
cisza—modlitwa
i białym opłatkiem łamanie
i bicie serca i stara kolenda,
co ciśnie na usta się sama
i jakieś ciche, dalekie wołanie
aniołów — czy ludzi —
pasterzy — śpiewanie.

W wigilijny dziś wieczór
wiatr huczał za oknem,
skry się z komina sypały,

pies jakiś jęczał za płotem
i śnieg gdzieś padał daleko—
nie u mnie...

Choinka stała błyszcząca,
barwna—tak cicha, spokojna,
Jezus spał w swoim żłobie
i wszystko cichło dokoła
a anioł ze szczytu choinki
wołał:

„Otwórzcie swe serca ludzie,
Bóg zeszedł dziś na ziemię—
radujcie się,—weselcie“.—

R. Stachórski kl. V.

ŚNIEG.

Nadszedł wreszcie upragniony,
Może nawet w snach wyśniony
Miękki, biały śnieg.
Toż się dni rozpoczną cudne!
Pełne czaru, trochę złudne..
Zimowego życia bieg.

W dniu tym klasa nasza cała
Jednem uczuciem pałała;
Radośc wielka ściska w krtani,
Przepełnia serce każdego,
Na wspomnienie, ile w dani
śnieżek niesie nam miłego

Wszyscy bawią się śnieżkami:
Tak „młodzieńcy“ jak i „dzieci“
Śnieżki świszczą ponad nami—
Każda w inną stronę leci.

Twarze wszystkich roześmiane,
Oczy radością błyszczące.
Nikt nie kryje się pod ścianą
Lepiąc śnieżki w słońcu lśniące.

A na przekór obu stronom,
Tak „młodzieńców“ jak i „dzieci“
Śnieżka nie w cel wymierzony,
Ale gdzieś w obłoki leci

Śnieg się lepi, śnieżka pędzi —
Pierwsza, druga, trzecia, czwarta!
Nikt napróżno tu nie ględzi
I wre bitwa już zażarta

Choć bez płaszczy,
Nikt nie drżący
Każdy się wesoło śmieje,
Bo ten śnieżek cudnie lśniący
Nas nie ziębi, ale grzeje.

Ach! niestety - duża pauza ukończona
„Pożegnaj się ze śnieżkami,
Wracaj do piecuchów grona,
Kuj się i ślęcz nad książkami".

Ale wtedy z piersi wszystkich
Okrzyk wyrwał się wspaniały
Niech nam zima nasza żyje!
Wiwat! Wiwat śnieżek biały!

Bidakowska Emilja kl Ia

ZIMOWE KŁOPOTY WRÓBLA.

Lubię wszystkie ptaszęta, lecz jednym z najbardziej przeze mnie ulubionych jest szary wróbel. Choć to wielki wścibski, psotnik i gaduła,—lubię go, bo gdy jesienią tłumy ptaków nas opuszczają, on wiernie pozostaje. Żyje wraz z nami nadzieją powrotu cudnej wiosny.

Dopóki śnieg nie spadnie, jako tako ma się nasz ptaszeczek. Śmietniki dostarczają mu pożywienia, pod strzechą w stodole chroni się od zimna. Aż któregoś dnia wróbelek obudzony zastaje ziemię pod śnieżystą pierzyną. Z początku cieszy się, jak wszyscy, pięknym widokiem. Później niejeden zdaje sobie sprawę z grozy położenia. — „Ćwir, ćwir", świergoce stary, doświadczony wróbel: „ciężka zima, oj, ciężka, nie wytrzymamy". Ale oburzony takim pesymizmem młody, zadzierżysty wróbelek, odpowiada buńczucznie: „oho! - stary safandułło, przetrwamy. damy sobie radę!" I rzeczywiście zazwyczaj daje sobie radę wróbelek, nie tracąc fantazji. Jako wielki wścibski, podsłucha rozmowę gospodarzy, po której leci do swych braci, oznajmiając radosną nowinę: „U gospodarza, ćwir, ćwir, w stodole — zboże — ziarno. — Ćwir, ćwir". — Później widzieć można jak całe to bractwo z zapałem dziobie rozsypane ziarno, przysmak w tym czasie nielada.

Często wróbelki przy biesiadzie poczubią się i pokłócą. „Te, odsuń się, tyś się już najadł" — „Ale, najadł, najadł, nawet wronie nie życzę takiego obiadu". Od przymówek idzie do czubów. Ale, że wróble popierają przysłowie: „kto się lubi

ten się czubi, więc też wkrótce powraca idealna zgoda.

Śmieją się wróbliska, gdy czasem wóz ze zbożem się wywróci. Właściciel tłusty, czerwony, staje się przedmiotem drwin i kpinek tych bezczelnych a jednak strasznie miłych ptasząt. „Czego—niezdaro!— istna małpa! a jaki ci ma nos"— wykrzykują naprzemian, aż biedne człeczysko musi się rumienić.

Nieraz ciepła rączka jasnowłosej dziewczynki sypnie z okienka garść smacznych okruchów. Wróbelek pociesznie przekrzywia łebek na bakier, niby mówiąc: „dziękuję ci śliczna panienko, szary wróbel o tobie nie zapomni".

Oj, sprytne i przebiegłe ptaszę — ten niepokaźny szary wróbel! *Bidakowska Emilja kl. Ia.*

PAWEŁEK.

Promień wesołego słońca wpadł do izdebki na poddaszu, lecz oświecił smutną scenę. Oto u wezgłowia łóżka stał mały chłopczyna—Pawełek, zaś na łóżku leżała jego chora matka. Długo już chorowała biedna kobieta, a prócz tego gnębiła ją myśl, co się stanie z Pawełkiem, gdy ona umrze.

Inaczej myślał Pawełek. On szukał sposobu, jak dostać jedzenie dla matki na dzisiaj, bo przecież wczoraj matka nic nie miała w ustach.

— Wody— wyjąkała kobieta. Pawełek skoczył co żywo i podał matce wodę. Woda była dla niej śniadaniem.

Chora kobieta zaczęła drzemać. Pawełek cichaczem wymknął się z domu, zamknął pokój na poddaszu...

...Drobniutka postać wychyliła się zza węgła domu i poczęła żebrać. Rączyna wychylała się co chwila z łachmanów.

Lecz mało kto na błaganie dziecka uważał. Wtem Pawełek zauważył piekarczyka, który niósł cały kosz bułek. Wyciągnął błagalnie rękę i rzekł... Daj...

Piekarczyk uśmiechnął się złośliwie i drażniąc Pawełka podsuwał mu pod nos bułeczki. Wreszcie powiedział:

— Dam ci jedną bułeczkę, ale za to uderzę cię „fajnie", w pysk... Tak z rozmachu—dodał.

W Pawełku toczyła się w tej chwili straszna walka, lecz zdecydował się przecierpieć ból, aby otrzymać bułeczkę dla matki.

— Bij.. — rzekł i nastawił swoją wychudłą twarzyczkę. Ciężka łapa chłopca spadła na twarz Pawełka. Pawełek zatoczył się raz i drugi, lecz nie upadł. Wyciągał rączynę po nagrodę. W tem miejscu spotkał go zawód; piekarczyk już był daleko, szedł i podgwizdywał wesoło...

Za nim szły wślad załzawione oczy i twarz opływająca

krwią. Pawełek stał chwilę w miejscu łkając. Potem poszedł w zaułek do matki. Nikt się nad nim nie zmiłował, każdy był obojętny, tylko jakaś biedna kobiecina wsunęła mu do ręki kawałek chleba...

W małej izdebce na poddaszu konała biedna kobieta. Pawełka nie było. Promień słońca opuścił izdebkę. *D. kl. IIb.*

POWSTANIE STYCZNIOWE.

Krwawo w dziejowej zapisany księdze
Ten nieszczęśliwy poryw do wolności,
Który, choć przerwał marzeń przędzę,
Świadectwem własnej był samoistności.
Garść zapaleńców—przecudnych snów manją
Prześladowana, a spragniona woli,
Przejętą zgrozą ucisku, tyranją —
Rzuciła się śmiało na cielsko niewoli,
By bohaterskim pokazać rapsodem,
Że i my także jesteśmy narodem!
I swoje państwo chcemy mieć na wieki,
Sami panować i żyć po swojemu—
I tak dziękować za łaski, opieki...
W swoich kościołach—Wszechmiłosiernemu
I ciągle dążyć do światła, do góry!
Wolni, bez okuć—wciąż rozpędzać chmury.

*
* *

I jeśli teraz my, Polacy, mamy
To szczęście, że w Wolnej żyjemy Ojczyźnie,
Nie sobie zaprowdę, a im zawdzięczamy—
Ich trudom i bohaterskiej spuściźnie.
Bo z ich dzielności, ofiar, poświęcenia
Wstały legjony,— Wolne pokolenia..
A jednak ich pamięć powoli zapada
W otchłań przeszłości, w oddalenia mroku..
Czasami tylko, ktoś wspomni pradziada,
Co w sześćdziesiątym trzecim zginął roku.
A przecież ich czyny są tem więcej sławne,
Że wstali oni, kiedy tak niedawne
Dni krwawe jeszcze nie przebrzmiały echem,
Trzydziestego roku - dni listopadowe.—
Kiedy wróg tortur najstraszniejszych grzechem
Nasycić się nie mógł: Szubienice nowe
Ciągle budował... A już krew ofiarna
Polała się znowu, rodząc przyszłe ziarna.
Lecz darmo! - silniejszy był wróg tysiąc razy,
Skutki tragiczne:— Piekło!. Ponad siły..
Stryczek, więzienia, okrutne „ukazy"
Wieczne katorgi, Sybir i mogiły..
Cześć więc Wam, Bracia! choć tak odległa—
Z tej Waszej chwały wstała Niepodległa!

P. Hall kl V.

Tłoczono w drukarni W. Cwika w Krzemieńcu.

Wydawca: Koło Literacko-Naukowe Młodzieży Liceum Krzemienieckiego pod opieką p. Kazimierza Groszyńskiego.

Komitet redakcyjny: J. Laskosiówna, J. Sułkowska, J. Żułkosiówna, Z. Dancewicz, B. Liżewski, Z. Rumel.

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego Działu Młodych jest R. Stachórski, sekretarzem—F. Łańcucki.

Za komitet redakcyjny: *J. Sułkowska.*

Administracja: L. Kowalec, T. Zator, Z. Kucharuk.

Adres redakcji i administracji: Krzemieniec, Liceum, „Nasz Widnokrąg".

Cena prenumeraty: Rocznie 2 zł., z przesyłką pocztową 2.40 zł. Cena pojedyńczego numeru 25 gr. z przesyłką pocztową 30 gr.